POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 22 LISTOPADA 1930 ROKU NR. 47

ANDRZEJ STRUG

40)

ŻÓŁTY KRZYŻ

ROZDZIAŁ VIII.

Pokój w Brześciu Litewskim, zawarty nareszcie w końcu lutego, był pierwszem od dawien dawna wielkiem świętem narodowem, jeżeli nie liczyć dorocznych uroczystości styczniowych w dniu urodzin Cesarza. Odbudowała się w masach nadszarpnięta wiara w rząd, w parlament, w Główną Kwaterę i w ubóstwianego monarchę. Nareszcie w gazetach ukazała się wieść prawdziwa. Pohopni gazeciarze trąbili już o zwycięstwie i dowodzili tego swoim zbyt nudnym żargonem patrjotycznego patosu oraz kolumnami cyfr, ale tym razem nie uwiedli nikogo. Zato ożyły nadzieje na koniec wojny. Pokój, o który modlił się naród wszystek, stawał się pojęciem coraz bardziej fantastycznem i o tej porze był jakimś mytem, zagubionym w bezmiarze czasu. Teraz po ostatecznem zażegnaniu niebezpieczeństwa od Wschodu, wszystkie siły tam uwięzione przejdą na front zachodni i może samem zjawieniem się swojem w obliczu wyczerpanego wroga wymuszą pertraktacje pokojowe. Wojna przejdzie w ręce dyplomatów i po długich targach zakończy się tak lub owak, może niezbyt świetnie, ale i nie ostatnio, — przy pomocy niemieckiego Boga, łodzi podwodnych i kolosalnych zapasów zboża i wszelkiego dobra, które niebawem zaczną napływać z Rosji i z Ukrainy. O tych zaczarowanych darach Wschodu mówiono oczywiście najwięcej, co natychmiast podchwycili dziennikarze i w kuszących artykułach, pełnych lekkomyślnego okrucieństwa, rozbestwiali żarłoczne żądze w narodzie głodomorów. Oblepiono mury wszystkich miast nowemi afiszami, wśród których celowały świetne martwe natury w postaci bochnów chleba, pieczonych kur i soczystych porozkrawanych szynek. Miljony ludzi gapiły się na przyobiecane cuda, wystając w ogonkach w długie zimowe noce i dławiąc się ościstym chlebem kartkowym. Ukraińskie kury i szynki prześladowały ludzi na jawie i we śnie, obrzydzając im do reszty wojenną strawę wraz z odżywczemi wynalazkami genjalnych filantropów, lekarzy i kucharek, zalecających wyszukane przyprawy do rzeczy niejadalnych.

Jednak każdy inteligentny obserwator nie mógł nie zauważyć w tych czasach znacznego podniesienia ducha. Mówiono o decydującej ofensywie wiosennej, o kolosalnych przygotowaniach. Coprawda, Niemcy przeżyły już parokrotnie w tych latach kolosalne przygotowania i kolosalne ofensywy. Czyż nie kolosalne były Flandrja, Verdun, Somme'a? Ale tym razem zamierzeń Głównej Kwatery nie można było określić tem pospolitem mianem. To, na co się zanosiło, przekraczało wszelką wyobraźnię. Przygotowania były trzymane w absolutnej tajemnicy, cenzura nie dopuszczała w tym względzie najlżejszego nawet napomknienia. Tembardziej gadano, tembardziej szeptano po kątach. W kuluarach parlamentu operowano cyframi i powoływano się na źródła najwyżej postawione. W salonach, na zebraniach towarzyskich prześcigano się w coraz bardziej szczegółowych informacjach, zalecając sobie nawzajem dyskrecję ze względu na szpiegów. W kawiarniach w braku cukru słodzono sobie czarną lurę wojenną ordynarnem rozpasaniem wyobraźni na rzecz potęgi przygotowań, wymieniano nawet odcinki wypadu i szpiegi francuskie, szpiegi angielskie, szpiegi amerykańskie dobrze nadstawiali uszu, cóż kiedy wymieniano po kolei i na wyrywki wszystkie ważniejsze punkty sześćset kilometrowego frontu od Lombardsyde do granicy szwajcarskiej. Za to wszyscy i wszędzie zgodnie rozwodzili się nad nowym piekielnym gazem, który zaskoczy nieprzyjaciela i zmusi go do zawieszenia broni i do rokowań pokojowych — ale o tryumfalnem wkroczeniu do Paryża nikt jakoś nie wspominał, zapewne w przesądnej obawie, aby nie uroczyć zwycięstwa.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— A ja panu powiem, że pominąwszy sfuszerowane przez Moltkego możliwości nad Marną — nigdy nie byliśmy tak bliscy zwycięstwa, jak właśnie teraz.

— Teraz?

— To znaczy w przeciągu najbliższych dwuch-trzech miesięcy. Jeżeli nie zdobędziemy się w tym czasie na rozstrzygnięcie, czeka nas klęska. Ale do tego nie dojdzie.

— A więc zwycięstwo?

— Tak jest!

— Panie generale, jesteśmy djabelnie przemęczeni.

— Nasi przeciwnicy tak samo, jeżeli nie gorzej — powiedzmy, że w tym względzie szanse są równe.

— Ale głód zrobił swoje...

— Armja ma wszystkiego poddostatkiem, ludzie z urlopów uciekają na front do pełnego kotła.

— Owszem, tylko zostawiają swoich na kartkowym, pożal się Boże, chlebie i w nędzy, o chłodzie i głodzie, to działa całkiem nieszczególnie...

— O chłodzie, o głodzie... Naprzód za miesiąc będzie cieplej, a chmara naszych agentów już się kręci po Ukrainie, niebawem zaczną napływać transporty.

— Pan generał wierzy w artykuły naszych gazet, w miljony ukraińskich pudów i w te smakowite afisze?

— Rada Narodowa Ukraińska gwarantuje nam najformalniej owe miljony pudów. Ukraina dusi się od nadmiaru zboża i wszelkiego dobra.

— Choćby się dusiła, trudno wyciągnąć coś poważniejszego, a do tego w szybkim czasie, z kraju zanarchizowanego, bez kolei, bez rządu...

— Uporaliśmy się z większemi trudnościami, bez przesady można powiedzieć, że Niemcy po wielu cierpieniach wkroczyli do ziemi obiecanej, mlekiem i miodem płynącej — jest to niesłychanie ważny czynnik zwycięstwa. Ale sedno rzeczy leży gdzieindziej—w cyfrach masowego obrotu materjałem ludzkim. Pan napewno wie, ile pociągów przechodzi dziennie przez Berlin z dywizjami, zwolnionemi na wschodzie?

— Skądże mam to wiedzieć?

— Ach, tak. Otóż przechodzi ich siedemdziesiąt sześć z Rosji, a drugie tyle z Ukrainy idzie przez Galicję, Śląsk na Strassburg. Jeżeli wyobrazimy sobie olbrzymią wagę o dwuch szalach, na których złożone są równowartości liczebne naszej armji i nieprzyjacielskiej, to w ostatnich dwuch latach nasza szala stała wysoko, a tamta przeważała ją stale. Teraz nasza zaczyna się obciążać, będzie się zniżać z każdym dniem, niebawem zrównoważy nieprzyjacielską a dalej będzie przeważała i przeważała, aż gdy różnica osiągnie przewidzianą cyfrę, nastąpi dzień natarcia. Oto wszystko. Cyfra rozstrzyga i nic więcej.

— A do tego podobno nowy gaz profesora Wagera i jeszcze inne niespodzianki...

— Owszem, owszem, to są głupstwa. Zresztą bardzo pożyteczne. Grunt — to cyfry. Na szalę nieprzyjacielską również zaczynają padać odrobiny transportów amerykańskich, na razie są to rzeczy zupełnie znikome i nie mogą wchodzić w rachubę. Za rok, owszem, amerykanie mogliby przeważyć szalę. To też za rok, chwała Bogu, będziemy spoczywać na dobrze zasłużonych laurach i wspominać tę wojnę, jako dawno minioną przeszłość.

— Brawo, panie generale! To się nazywa brać wojnę ze stanowiska matematycznego. My, zwyczajni śmiertelnicy, ulegamy żalom, bólom, zwątpieniom, strachom, na nas działa głód, nędza, żałoba... Nam się wojna dłuży, nudzi nas, nęka.

— A ja kocham wojnę! To sztuka prawdziwie angielska, ale opiera się na zimnej logice i na cyfrach. Cudowna jest jej gra. Wojna jest jak ta nasza szachownica, tylko że...

A zatem szach królowi! I w rezultacie zabieram generałowi wieżę.

— Do djabła, tak jest! To pańska taktyka — wciągać mnie w gadanie i łapać na najgłupszych błędach. Niezły środeczek pomocniczy...

— Na wojnie wolno wszystko.

— Tak się mówi, zwłaszcza o nas Niemcach, a jednak nie dopuściliśmy się przez cały czas wojny ani jednej wielkiej niegodziwości. Z pobudek honoru i niemieckiej uczciwości odrzuciliśmy propozycję zamordowania Petaine'a i Clemenceau, choć niktby się nigdy nie dowiedział, że to my zapłaciliśmy za to. Nie rzucaliśmy bomb gazowych na Paryż ani na Londyn. Jak daleko sięga nasze poczucie honoru wojskowego, tej zaiste średniowiecznej niemieckiej rycerskości, dowodzi fakt, że posyłając lotników na punkt węzłowy Compiègne, zabroniliśmy im formalnie bombardować Główną Kwaterę francuską, która zajmuje kompleks budynków liceum. A lord Kitchener zginął śmiercią żołnierską, wraz z nim zatonął „Hampshire" z całą załogą; był to akt bojowy, niejako bitwa morska, co nie przeszkadza, że pozostanie na zawsze chlubą naszego wywiadu. Dalej — osławiony wagon zaplombowany z Leninem, Trockim i kompanją. Było to posunięcie czysto dyplomatyczne, a zresztą dlaczego nie oskarżają o to Szwajcarji, która ich wypuściła? Pan się uśmiecha, panie dyrektorze?

— Obawiam się, że pan utraci resztę swojej kawalerji.

— Mój ostatni koń? Nic groźnego, proszę posuwać.

— Narazie nic groźnego, ale po mojem trzeciem posunięciu...

— Pan jest aż tak przewidujący? Ja widzę naprzód tylko na dwa ruchy, to wystarcza. Inaczej łatwo się zaplątać w kombinacjach, tak samo w grze, jak na wojnie. W walce nie należy być zbyt subtelnym.

— Zobaczymy, panie generale. Bo gdyby nasz kanclerz przewidywał na trzy ruchy naprzód, to możeby nie był przepuścił Lenina i towarzyszy.

— A cóż? Starli z powierzchni ziemi Rząd Tymczasowy, który upierał się prowadzić wojnę do zwycięskiego końca, rozwalili armję, zawarli z nami pokój. Dali nam kolosalne atuty.

— Teraz jest nieźle, ale co będzie za rok? Socjalizm gadający, parlamentarny, ewolucyjny już jest niebezpieczną rzeczą, a cóż dopiero bolszewizm, władający największym obszarem świata?...

— To już kłopot na po wojnie, nie pora zaprzątać się nim teraz.

— A jaka statystyka obliczy odsetek naszych żołnierzy, którzy już teraz podpadli pod urok bolszewizmu — pytam o te dywizje, które są w ruchu na zachodni front?

— Wszystko było przewidziane. Przed wyruszeniem w każdej kompanji odbył się kurs przeszkolenia politycznego, gdzie specjalny nacisk położono na utopijność bolszewizmu i jego wrogość do socjaldemokracji, jako kierunku humanitarno-ewolucyjnego. A ten kierunek przeważa w armji, jeżeli mówić o jej uświadomionej części.

— Wykładali zapewne sami panowie feldweble?

— Bardzo proszę... Znaleźliśmy dostateczną ilość żołnierzy z inteligencji, partyjnych socjaldemokratów, którzy doskonale wywiązali się z zadania. Przemawiali żołnierze do żołnierzy, a w pewnej mierze dopuszczona była i dyskusja, w formie zadawania pytań instruktorowi. Pozatem specjalny wywiad wykrył nieznaczny procent niepewnych i ci wyłączeni zostali z transportów, przeznaczonych na front. Pójdą do garnizonów okupacyjnych w Belgji, w Polsce, Rumunji, w Serbji.

— Jeżeli tak, to dobrze. I zabieram panu wreszcie tego konia.

— Niech wszyscy djabli!... Znowu się zagadałem.

Generał uskarżał się na przemęczenie. Miał pilną, denerwującą robotę, ale dokonał wielkiego dzieła, mianowicie — tu prosił o poufność — wykrył i trzyma w ręku centralę szpiegostwa angielskiego. Operowała ona głównie w portach wojennych, a interesowała się przedewszystkiem, rzecz prosta, pracą naszych stoczni morskich, łodziami podwodnemi i rozkładem pól minowych.

(D. c. n.).

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

KARNAWAŁ 1926

Fragment z powieści „Dramat w Ojczyźnie", która ukaże się w tych dniach w wydaniu książkowem

Pękają z hukiem barwne balony, dotknięte żarem papierosa. Strzela donośnie szampan. Orkiestra toczy wrzaskliwy bój z temperamentem tancerzy. Cudaczne i prymitywne instrumenty jazzbandu wyją, piszczą, jęczą, zgrzytają i zawodzą. W ciasnem kole stłoczone, drgające pary. Ku szumiącym wentylatorom ciągną mgły dymu. Szeroko patrzą podkrążone czernią oczy kobiet; zuchwale i lekceważąco błądzą wzrokiem po sali mężczyźni.

Bawimy się wszyscy w tej sali: ministrowie, oficerowie, posłowie, przemysłowcy, urzędnicy, publicyści, kupcy. Bywa tu każdy, mający jakieś znaczenie, funkcję, urząd. Znamy się z balów, rautów, vernissage'ów, bankietów, pogrzebów... Znamy się także z częstych spotkań w tym lokalu, zdobnym na dole w arabeski wschodu i malowidła zachodnie, na górze gorejącym czerwienią, blaskiem kryształów, grą djamentów, szałem zabaw nocnych. Znamy się wreszcie z bridge'a.

Nasze panie uśmiechają się do płatnych danserek i kochanek, które także są tu codziennie. Jesteśmy prawie w rodzinie: sami swoi. Mgłą rozczulającego braterstwa łączy nas wszystkich upojenie dobrą, drogą, niekończącą się zabawą. Cokolwiek mówiłem, lub myślałem uprzednio — było przesadą, było chorobliwą pretensją. Walczyliśmy i pracowaliśmy — teraz bawmy się i tańczmy — póki czas. Przecież zbudowaliśmy Gdynię i tak dalej...

Przy pomocy wina, a głównie wódki — jakoś się prędzej żyje.

Jakże cudowne, okrągłe, poprostu wspaniałe są obnażone ramiona Iry. Podziwiam ich klasyczną linję wraz z całą salą. Czyż posiadanie takich kształtów nie usprawiedliwia ostatecznie i stanowczo istnienia Iry?

— Masz ramiona tak piękne — że wszystko ci wybaczam — mówię, pochylony do żony.

W oczach jej dostrzegam lotny niepokój. — Co on wie?

— Skoro wybaczasz — to — to napijmy się! Za zdrowie mojego męża! — woła.

Nie znałem dotychczas smaku beztroskiej hulanki, aromatu nieznanych perfum, łatwości, z jaką ujmuje się w ramiona piękne, cudze, bynajmniej nie oporne kobiety. Roznamiętniłem się do tańca, bardziej, niż Ira, która zdaje się przekłada tancerza nad sam taniec. Ten gwałtownie zmieniony tryb życia jest naprawdę błogosławiony. Nie opuściliśmy w tym karnawale ani jednego balu, ani jednej premjery. To życie!

Dziś — dzień ostatni zabawy...

Chwiejnemi, wielkiemi krokami wytaczają się towarzystwa do westibiulu, skąd szerokie schody wiodą na górę. Po drodze damy wydają okrzyki zachwytu na widok wielkich lalek, albo małego, żywego murzynka. Dalej odbywa się zabawa najprawdziwsza, w migotaniu kolorowych świateł, przy matowym połysku półnagich ciał. Obok stolików stoją srebrne wiaderka, nakryte śnieżnemi całunami, napełnione chłodem lodu i kipiącem szaleństwem wina. Od stropu padają żywe kwiaty. Perfumy dam kąsają martwą, wyszukaną, sztuczną wonią. Z sykiem i szelestem lecą przez salę gumowe barwione potworki o ciałach straszliwie cudacznych. W środku sali — szklana posadzka, która błyszczy, jak wielkie purpurowe słońce. W centrum krwawego koła stoi czarny wysmukły tancerz i na drżącej dłoni wznosi ku górze wirujący kształt nagiej, białej baletniczki. Zdążyliśmy zatem na to codzienne, karnawałowe widowisko.

O — mamy tu już wiele przyjaciół. Z każdej loży uśmiechają się do nas małe ząbki, otoczone klamrą karminu; gną się szarmancko i poufale gorsy kelnerów! przy wejściu — na naszą cześć — zawyły pompatycznie saksofony, zadzwoniła, zabębniła w przyśpieszonym rytmie cała rozhukana, tańcząca przed małemi pulpitami orkiestra. Dowiadujemy się tu zwykle ostatnich nowin — jakie widoki w kryzysie gabinetowym i jaką interpelację wniesie jutro ten lub ów klub.

I jaki nowy szwindel dojrzewa...

Tymczasem wśród tańczących krąży młody skrzypek, to tej, to owej pani poddając prędszy rytm. Później, przed naszym stolikiem — tańczy sam, własną, zawziętą podniecony grą. Czarnem spojrzeniem błądzi po ramionach Iry; porywczemi ruchami smyczka zda się tłomaczy najwyższe stopnie swoich namiętnych uwielbień. Oto zmienia nagle motyw i posłusznie idą za nim bębny, trąby, wiolonczela i klarnety; tancerze tłoczą się w miejscu i stają, zdumieni. Ale już cała sala jest porwana nową niesłychaną rozrywką. Oto, przed piękną damą śmiały skrzypek — grą i mimiką, smyczkiem i skrzypcami, tańcem i spojrzeniem, melodją i rytmem — uszom, oczom i zmysłom opowiada — wszystkim, sobie i jej — jakby ją kochał, jakby ją posiadł — zuchwalec; jakby ją zmęczył nie słodką pieszczotą, lecz ciężarem i siłą — jak mocnym, i jadowitym zarazem w swej monotonji rytmem — potrafiłby rozkołysać jej piękne i obojętne ciało.

Ira jest w siódmem niebie, choć udaje, że nic z tego nie rozumie. Rzuca na mnie badawcze spojrzenia, śmieje się rogatym czerwonym uśmiechem, przymrużając co chwila oczy. W burzy dźwięków i gestów, wystrzelających bezczelnie, przy akompanjamencie grubych skojarzeń orkiestry — policzki pań zakwitają nagłym rumieńcem świadomości. Wśród nikłych i nieśmiałych, lecz jeszcze bardziej cynicznych fragmentów rytmu i melodji — chwilowa bladość — wspomnienie ekstaz cielesnych — zastępuje rumieńce.

W końcu i skrzypek i Ira zbierają burzę oklasków za tak udane widowisko. Klaszczę w dłonie i ja, choć nadaremnie w tej chwili usiłuję schwytać pewną myśl, pewne nieokreślone wspomnienie o kimś, także nieustannie cierpiącym. Toż ostatni dziś dzień karnawału. Muszę być sam — dość ludzi.

Pośpiesznie żegnam się i wychodzę na mroźną, gwiaździstą noc. Srebrem lśnią wyślizgane jezdnie i chodniki. Przelatują z dyskretnym szumem limuzyny, kryjące dreszcz pocałunków i rozkosz błądzących rąk. Mijam zziębnięte dziewczyny, pokornie czekające w bramach. Całe śródmieście jest wielką kipielą bezsennego życia i pijaństwa. Łuny świateł leją się na ulicę. Witryny wielkich restauracyj drżą chaosem dźwięków. Przed pałacami i resursami stoją setki oczekujących pojazdów.

Damy w wieczorowych toaletach i koafiurach, otulone w luksusowe futra, mają natchnione twarze, śpiesząc z balu na bal. Szoferzy, dorożkarze i stróże nocni rzucają wślad za temi delikatnemi pięknościami epite-

ty wulgarne i soczyste. Panowie, towarzyszący damom, udają, że nic nie słyszą.

Zajęczała gdzieś karetka Pogotowia lekarskiego— swym specjalnym, żałosnym sygnałem.

Wtedy przypomniałem sobie natrętną, a nieuchwytną myśl — o wielkim cierpiętniku, wiszącym na swem rusztowaniu. Należało pamiętać o nim — nieładnie tak zapominać o starych sąsiadach. Czy żyje jeszcze? Czy cierpi? Czy wie—że i my, wplątani w zawiły mechanizm sztucznego życia, nie żyjemy na prawdę: pełnią radosnego poczucia twórczej szlachetnej wolności.

Nadchodzi zimowy poranek, gdy staję u wrót szpitala. Jest za wcześnie na odwiedziny, ale właśnie wrota są otwarte i na dziedzińcu stąpają ludzie. Przenoszą sztywne, owinięte całunami kształty z suteren do wielkiego samochodu, który zawiezie martwe, zmarznięte ciała do prosektorjum. Zdejmuję cylinder, przechodząc mimo — gość tańczącego karnawału w murach, ukrywających ból, niemoc i śmierć. Znanemi schodami wkraczam coraz głębiej w atmosferę lekarstw, w ciężki zapach dezynfektorów. Po chwili naciskam klamkę i staję w progu pamiętnej sali cierpienia. Powoli mój wzrok, przyzwyczajony do rozszalałej jasności wesołej nocy, dostrzega w mdłem świetle poranka dziwaczne zarysy maszyny życia. Beleczki, linki, sprężyny, deszczułki — jak dawniej zwisają od góry i łączą się z łożem.

— A więc nie umarł...

Zbliżam się wolno i staję nad żywym nieboszczykiem. Nie śpi. Patrzy. Najwidoczniej poznaje mnie — widzę to po drgnieniu rzęs i warg. Jest jeszcze bardziej blady i przezroczysty, niż dawniej. Wciąż nic nie mówi — całe lata.

— Przeszło pięć lat nie widziałem cię — bracie — mówię półgłosem i przysiadam na szpitalnym zydlu.

Wokoło jest pusto. Widocznie sala nie była już potrzebna — a jednocześnie nie ryzykowano ruszyć z miejsca żołnierza z pod Bobrujska. Tak został tu wraz ze swojem rusztowaniem, które kiedyś zdążono nad nim zbudować.

Pocieram czoło. — Jezus — Marja — co za nieszczęście dziwne...

On patrzy pytająco na mnie.

— Ten strój? — mówię — a no — bo wracam z balu — z zabawy.

Milczymy — on z konieczności, ja — jakby ze wstydu.

Patrzy na mnie i chce coś gwałtownie zrozumieć.

Wtedy zaczynam opowieść, skargę, może spowiedź. Słucha mnie uważnie — widać to w otwartych, rozumiejących spojrzeniach. Czasem lekko rozchyla wargi — jakby pytał. To znów potwierdza, lub przeczy ruchami rzęs.

— Ja nie jestem wcale sam w porządku — tłomaczę — rozumiesz bracie — nie wiem — dlaczego ciebie właśnie nękam niepokojami ze świata. Ty i tak — braciszku — cierpisz...

Lekki gest przeczenia...

— Nie cierpisz? — dumam i dziwię się. — Dobrze ci? — pytam.

On potwierdza! On potwierdza wyraźnie...

Mówię dalej:

— Zabrałem narzeczoną przyjacielowi — który w niewoli. On tam za nas wszystkich pokutuje... Taki oto jestem. Teraz on wróci — ale przecież nie mogę mu jej oddać, bo zresztą to niedobra kobieta — rozumiesz? Tobie mówię to — bo nikomu nie powtórzysz — bo nie możesz — nie gniewaj się — dużo piłem...

Uśmiecha się kącikiem ust z niewymowną słodyczą, jakby zachęcał mnie do opowiedzenia wszystkiego. Ciągnę chaotyczną, pijaną relację o sobie, kraju, ludziach, o rządzie, sejmie, kobietach, o Wichunie...

— Czy wiesz — pytam — że nasz pierwszy Prezydent był zabity przez polaka? Było to na wystawie obrazów...

Nie wiedział...

— A w Krakowie wystrzelano szwadrony ułanów podczas zaburzeń? Było to tak...

Słucha — jak on słucha.

— Czy wiesz, że naszego wodza, steranego olbrzymim wysiłkiem całego życia, odpoczywającego teraz w zaciszu — lżą w sposób ohydny studenci, sztubacy, damy — i pisarze?

Jest zdumiony — zdaje się.

— Czy wiesz — ach, jaki jesteś szczęśliwy, schowany tutaj przed życiem — że sejm skręca się w walce wewnętrznej? Jest przeżarty targiem politycznym partji, korupcją posłów — i bezsilny — chce rządzić wyłącznie — —

Mój pijany, gorzki patos razi mnie samego. Poco to wszystko mówię?

— Nie wiem, jaki byłeś — kim byłeś przed wojną — przed tą swoją raną — czy byłeś szczęśliwy...

Przeczą temu przypuszczeniu oczy, z lękiem zapatrzone w przeszłość.

— Aha — odpoczywasz tu. A ja ci ten spokój odbieram — ach — mój Boże. Ale nie mogłem już wytrzymać w sobie tego wszystkiego. Nie wierzę już w ludzi. Nie o to, nie o to biliśmy się...

Lekki, pogardliwy wyraz jego warg mówi mi o tem, że nie zgadza się ze mną. Teraz już porządniej opowiadam mu po kolei o przestępstwach i procesach, zdarzeniach wielkich i małych, ale charakterystycznych, o kryzysach rządowych, o dzisiejszej młodzieży, o nowych żonach i córkach, o pieniądzu, o Lidze Narodów, o rewolucjach dalekich. Wyrzucam z siebie za jednym zamachem olbrzymi balast nowoczesności, która mnie udręczyła. Niech słucha i niech umiera prędzej!

Przychodzi siostra Anna ze śniadaniem i karmi żołnierza płynami za pomocą gumowej rurki i pompki. Poznaje mnie i ściska mi głowę po matczynemu. Przy niej kończę moją dwugodzinną relację.

— O smutnych rzeczach opowiedziałem — usprawiedliwiam się przed siostrą. — Niepotrzebnie tu przyszedłem ze smutkami i zwątpieniami. Innym razem może opowiem o wszystkiem dobrem...

Żegnamy się.

Wtem siostra Anna nachyla się nad nieruchomym żołnierzem.

— On coś chce powiedzieć...

Stoję i czekam.

Siostra Anna lekko przykłada policzek do niemych warg.

— On panu dziękuje — mówi mi, uchwyciwszy ledwie znaczne poruszenie warg.

Patrzę ze wzruszeniem w oczy, ukryte w cieniu wielkiego wyczerpania.

Siostra Anna znów słucha.

— On mówi dlaczegoś tylko jedno słowo: życie. Wciąż powtarza: ż y c i e . . .

Schodząc — myślę — co on nazywa życiem? Swoją — czy naszą — wegetację? I ogarnia mnie niesmak, że skarżyłem się właśnie jemu — bezsilnemu i bezbronnemu. Zupełnie tak — jakbym skarżył się tam — biednemu Wichunie.

A jednak — powiedział: życie.